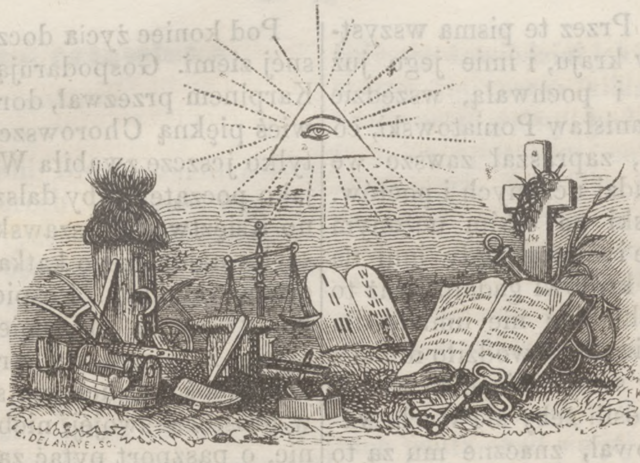
№ 3.

WARSZAWA

19 Stycznia

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *O Franciszku Karpińskim (dokończenie).— Trumna złego człowieka, zdarzenie prawdziwe.— O podatkach w Turcyi i we Francyi. — Przy drzwiach kościołka, poezya. — Różności: Bractwo wstrzemięźliwości w Opoczyńskim, Książeczka p. t. Rady Gospodarskie.*

O Franciszku Karpińskim.

(Dokończenie).

—

Gdy tedy Karpiński z domu rodzicielskiego szedł w świat szeroki, szukać chleba i sławy, wziął z niego: wiarę niezachwianą na wszystkie przygody życia i postanowienie stać przy prawdzie od ojca przekazane. Wziął tęsknotę za zmarłą matką, i miłość téj ziemi, na któréj stała ojczysta zagroda jego, i tego ludu wiejskiego, od którego pierwsze pieśni słyszał. Z tym zasobem rozpoczął dalsze zycie swoje, a przyniosło mu ono nie jedną ciężką przygodę, pod którą nieraz zachwiałaby się dusza, bez téj drogiéj w sercu spuścizny.

Udał się naprzód na dalsze jeszcze nauki do akademii we Lwowie, potém w podróż za granicę wyjechał, a tymczasem w kraju, smutne zaszły zmiany, pierwszy jego podział pod ten czas nastąpił, owo województwo ruskie pod austryackie przeszło panowanie, i śpiewak nasz za powrotem z wędrówki nie zastał już rodzinnego gniazda!...

Mimo takij smutnych wypadków w owym czasie, ludzie kraj swój kochający, nie opuscili rąk, nie oddali się bezczynnie żałości, ale podwoili energii i pracy koło tego, co zostało do roboty. Wszyscy co mieli myśl jasną w głowie, a uczucie poczciwe w sercu, rzucili się do poprawy tego co było złem w rządzie, w sądzie, w wychowaniu młodzieży. Mało co przedtem zacny ksiądz Konarski pijar, swojemi pismami i mowami, otwierał oczy obywateli, na niedostatki i szkody Jezuickich szkół, na ciemnotę ludu wiejskiego, na brak praw sprawiedliwych i mądrych. Rozbudził się kraj tym księdza Konarskiego głosem i każdy według sił i zdolności swoich, obmyślał lepsze na przyszłość urządzenia. W tymże czasie i takiemiż przejęty myślami, dążył i Karpiński do Warszawy. Napisał wtedy rozprawę o rzeczpospolitéj, rozprawę o wymowie i wyrzekł piękną mowę na pochwałę Sobieskiego, w setną rocznicę zwycięztwa jego pod Wiedniem. W tym czasie także napisał piękny wiersz p. t. „Głos zabitego do sądu,“ gdzie wystawia, jak niby z tamtego świata, człowiek niewinnie zabity, przemawiał do tych, co

śmierć jego sprawili. Przez te pisma wszystkie dał się poznać w kraju, i imie jego już wtedy z szacunkiem i pochwałą, wszędzie wspominano. Król Stanisław Poniatowski, co obrazy i wiersze lubił, zapraszał zawsze we czwartki na obiady ludzi uczonych i poetów. Był też raz i Karpiński na takim uczonym czwartkowym obiedzie i milczał, gdy inni na wyścigi pochlebstwa królowi gadali. Już to on nigdy a nigdy pochlebiać nie umiał, dla tego na wielkim świecie nie powodziło mu się. Zapraszali go w domy swoje książęta i wielcy panowie, niektórzy prosili żeby się wychowaniem ich synów zajmował, znaczne mu za to obiecując wynagrodzenie. Próbował tego chleba Karpiński, własnéj zagrody niemający, ale mu się wnet sprzykrzył. Porzucił więc dwory pańskie, wszystkie świetności wielkiego świata, zdala od stolicy na małym kawałku ziemi, pod niską osiadł strzechą, gdzie były okna różnoszybne, piec niepolewany i wszystko ku starości pochylone. Na tę lepiankę wyrzekł: „Oto mój dom ubogi!“ i tu roli się ująwszy, rozpamiętywał swoje wśród wielkich panów niepowodzenia, a przypominając co ojciec o prawdzie mówił, wyrzekł:

Nie przeto święta cnoto porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba.
Choćby mi jeszcze wolniéj miało szczęście pociec,
Bo i z prawdą piękniéj jest i tak kazał Ociec.

Na wezwanie króla, raz jeszcze porzucił swą skromną zagrodę, raz jeszcze skłoniony królewską namową, przyjął miejsce nauczyciela w domu książąt Radziwiłłów. Lecz gdy i ta próba się nie powiodła, bezpowrotnie pożegnał pałace i odtąd do śmierci nie porzucał roli. W Litwie oddano mu na lat 50 wieś Kraśnik. Nie świetne to wprawdzie było dobrodziejstwo, wieś była raczéj pustem polem z parą walących się domostw. Lecz śpiewak spragniony swobody i ciszy wiejskiéj, przyjął to z radością. Urządził schludnie siedzibę, otoczył się rodziną, to jest dziećmi swéj siostry, bo sam nigdy żonaty nie był, nasprowadzał sobie książek i dopiero wtedy zgodne z upodobaniem swojém wieść zaczął życie. Zaznajomił się z wieśniakami swoimi, dzielił ich pracę i zabawy. Na dożynki, wesela, pieśni układał, szkółkę dla dzieci wiejskich założył i sam w niéj uczył. Ile mógł dobra każdemu świadczył, a ile czasu zostawało pisał i nowe pieśni składał.

Pod koniec życia doczekał się kawałka własnéj ziemi. Gospodarując na Kraśniku, który Karpinem przezwał, dorobił się tyle, że kupił wieś piękną Chorowszczyznę. Ztąd, raz go tylko jeszcze zwabiła Warszawa. W r. 1807 jako początek niby dalszych nadziei, utworzono Księztwo Warszawskie. Kto mógł, to śpieszył z najdalszego kątka ucieszyć się tym złudnym widokiem. Pośpieszył i Karpiński. Zobaczywszy za zbliżeniem się do granic polskiego żołnierza na straży, płacząc od wielkiéj radości, rzucił mu się na szyję. Żołnierz w prostocie swojéj, niebacząc na to uniesienie, o paszport pytać zaczął. „Po tych łzach poznaj, żem jest Polakiem“ odrzekł mu Karpiński. Nadeszły oficer załatwił tę sprawę i poeta nasz po raz ostatni nawiedził Warszawę.

Późnéj doczekał się starości, otaczała go rodzina, któréj los zapewnił, wnuczki swoje po siostrze z błogosławieństwem w domy mężów wyprawiał. Słyszał jak lud co go otaczał w polu i w kościele śpiewał pieśni jego, sam nieraz starzec już siwowłosy, zwrócony do kościołka wiejskiego, wziąwszy lutnię w rękę, powtarzał którą z pięknych modlitw swoich np:

Tak jak dziś jestem, niedołężnym płazem,
Zbitém naczyniem, o które nie stoję,
Pokorę tylko wziąwszy z sobą razem,
Poniosę głupstwa i nikczemność moję.
. . . .
Potem przed tronem Twym padnę i powiem:
Z dalekich krajów przyszedłem w te strony,
Za mojém szczęściem, weselem i zdrowiem,
Ubogi, smutny, na siłach zwątlony!

Nabożne pieśni swoje, do końca życia z upodobaniem sobie przypominał, ale świeckich zaprzestał zupełnie, odkąd nad nieszczęściami kraju zadumany, ułożył: „Żale Sarmaty na Zygmunta grobie.“

Własny też grób zawczasu obmyślił sobie. Polecił, by go pochowano na wiejskim cmentarzu, wśród mogił wieśniaków, swych dobrych przyjaciół, a na kamieniu grobowym by wyrznięto ten napis:

„Oto mój dom ubogi!“

W tym tedy ostatnim domu spoczął dnia 4 Września 1825 r. Została po nim pamięć zacna i pieśni, któremi ludzie chwałę Bożą opiewają, a w własnych utrapieniach wzajem się krzepią i cieszą.

Trumna złego człowieka.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Przed laty, w parafii Błogie zagnieździło się złodziejstwo. Czterech tam było kolonistów i kowal, na których miano porozumienie, a nawet i pewne oznaki; ale chociaż tu i owdzie, za wyprowadzoną krówkę, konia, wołu lub zboże ze stodoły albo z komory, były narzekania, płacz i złorzeczenia, nikt jednak krzywdy swojéj nie poszukiwał u żadnego z pięciu złych ludzi. Jeden na Boga zdawał krzywdę, inni milczeli z bojaźni, aby się na nim nie mścili złodzieje. Nikt pierwszy nie chciał w oczy spojrzeć złym ludziom, tylko w cichości sobie imiona szkodliwych sąsiadów podawali, od nich stronili i palcem ich wytykali, tak, że i najmniejszy dzieciak wiedział ich nazwiska, a starsze dzieci umiały ich poznać pomiędzy wieloma.

Wszystko bo też przekonywało, że to są źli ludzie. Mieszkali blisko siebie, a nieraz o północy świeciło się u nich i tylko sami wyprawiali sobie w tak późnéj porze pohulanki. Do kościoła niechodzili, na rodziców chrzestnych nikogo z ich domów nie proszono, jeno sami sobie kumowali. Po odpustach nie ujrzałeś z nich żadnego, a organista mówił, że ksiądz proboszcz dużo miewa kłopotu z nimi, gdy przyjdzie wielkanocna spowiedź, i że najczęściéj biorą kartki pozwolenia do innego kościoła klasztornego. Na zarobek nigdy nie chodzili; konie i woły swoje tak często przemieniali jakby handlarze jacy. Zawsześ ich zobaczył w mieście Piotrkowie, niby jakieś handle prowadzących. A chociaż często lichy z pola sprzęt mieli, nie na czasie zasiali, nie na czasie zebrali, to jakoś nie ubogo kole nich było. A o kowalu to jeszcze dodać można, że o robotę nie stał, a kuźnia często była zamkniętą.

Ale coraz więcéj i częściéj pobijały ich łzy pokrzywdzonych przed Bogiem, a ludzie przepowiadali dla nich srogie ukaranie. Co ludzie gadają, to i wygadają, bo Bóg często dla przykładu innych, za grzechy i krzywdy wyrządzone bliźnim, nie tylko w przyszłém, ale i w tém życiu karze.

Na rządową dzierżawę w Błogiem nastał pan dobry, dzielny, dawny wojskowy polski. Gdy się dowiedział jakie to złe w jego gminie szerzy się, zaraz kilka kradzieży wyśledził, i jako wójt gminy pod sąd oddał sprawców, i takim sposobem cokolwiek złodziejstwo zmniejszył. Najwięksi jednak herszci, ze złodziejstwa zamożni, w wybiegi wprawni, zawsze się umieli wyśliznąć z rąk sprawiedliwości sądowéj. Utyskiwała okolica cała, zżymał się dzierżawca, ale nie mając nic dowodnego, do czasu odkładał ich skarcenie, baczne oko mając na wskazanych mu pięciu, na ich postępki i ruch każdy. Lecz kara nie ztąd na nich padła zkąd się jéj obawiali złodzieje, nie od tego co im skarcenie obiecał i nie w taki sposób, aby się od niéj wykupić lub też jej uniknąć mogli.

Ostatnią kradzież popełnili u biednéj wdowy Pawłowéj komornicy, uprowadzając jéj krowę, która była całym majątkiem dla jéj dwojga dzieci. Biedna Pawłowa, nie mogąc się ani dopytać, ani odszukać krowiny swojéj, zalana łzami poszła do kościoła i Bogu łzy swoje sieroce i nędzę złożyła. Trafiła na mszę świętą, krzyżem przez całą przeleżała, a po mszy świętéj proboszcz o jéj smutku się dowiedział i pocieszał strapioną.

Łzy biednéj wdowy i sierot dopełniły miary złego pięciu złodziei i wkrótce potem prawie nagłą śmiercią, bo po kilkodniowém konaniu, jeden z nich umarł.

Nazajutrz po skonaniu, na wołach przywieźli zmarłego przed kościół. Dwie kobiety: żona zmarłego i krewna i dwóch sąsiadów, weszło do mieszkania proboszcza, a oznajmując śmierć z imienia i nazwiska, zażądali sutego na jutro pogrzebu, a dziś wprowadzenia do kościoła, i nie pytając ileby proboszcz za pogrzeb zażądał, wyliczyli na stół 100 złp.

Proboszcz wszystko wymiarkował, a pomyśliwszy chwilkę, napisał list do dzierżawcy i jednego z przybyłych z listem posłał, a pozostałym kazał się zatrzymać.

Dzierżawca te wyrazy czytał w liście: „Jeden z pięciu głównych złodziei zmarł. Mam go niedługo na cmentarz odesłać dla pochowania; proszę pana, abyś rozkazał stawić się do mnie zaraz, czterem towarzyszom zmarłego, gdyż pogrzeb tak szkodliwego człowieka w parafii, powinien być uroczysty, i trzeba aby jego kamraci na pogrzebie byli.“

Był wówczas proboszczem w Błogiem ks. Marszulewicz, znany z dobrego humoru i figlów i rozmaitych pomysłów dziwnych; więc spodziewał się dzierżawca jakiegoś dziwnego pogrzebu i zaraz wysłał polecenie do sołtysa, aby rozkazał stawić się czterem żądanym gospodarzom do proboszcza, i aby tego dopilnował.

Pogrzeb jednego z pięciu szkodliwych we wsi i wieść, że sołtys nakazuje jego towarzyszom, aby się stawili na plebanią, tak zaciekawiła wszystkich, że wkrótce nie tylko owi czteréj poszli do proboszcza, ale prawie cała wieś zeszła się na cmentarz kościelny, ciekawi co to będzie, bo przeczuwali coś niezwykłego.

Proboszcz widząc wszystko po myśli swojéj, spisał akt zejścia, poszedł do kościoła, ubrał się w zakrystyi w komżę, stułę, kapę i biret; organista poniósł za księdzem kropidło i kociołek ze święconą wodą, a wyszedłszy wielkiemi drzwiami stanął nad trumną zmarłego. Obok trumny, kazał stanąć czterem towarzyszom nieboszczyka, a mając lud ciekawy około siebie, zmierzył wszystkich bystrym wzrokiem, zatrzymał go na trumnie i ukazując na nią ręką, w te odezwał się słowa:

„Mizerny człowiecze! Całe życie głuchym byłeś, jako i teraz na moje przestrogi, na swoje sumienie i na przykazania Boże, całe też życie twoje było niepewne i błędne. Parafianie palcem cię wytykali, lękali się ciebie, a wiele łez z twojéj przyczyny wylali pokrzywdzeni. Nie ma też teraz kto nad tobą zapłakać. Raduje się okolica, że ubył jeden szkodliwy człowiek, i raduje się piekło ze swej ofiary, bo wszyscy co są tu obecni, nie z nabożeństwa się tu zeszli, ale z ciekawości.“ Spojrzał po gromadzie proboszcz i daléj mówił: „Ale po cóż ja się ubrałem w szaty kościelne do takiego zbrodniarza? Byłobyto skalaniem stroju kościelnego, więc je zdejmę.“ I zdjął z siebie biret, kapę, stułę i komżę. Wziął kropidło w rękę, a podniosłszy nad trumną powiedział: „Mamże cię święconą wodą pokropić? a tobym poparzył szatanów co twojego ciała strzegą. Nie żegnałeś się za życia święconą wodą, i teraz ci ona nie pomoże!“ Oddał kropidło organiście nie kropiąc trumny. Wziął spory głaz w rękę i mówił: „Oto kamieniem przycisnę wieko trumny twojéj, zamiast piasku i święconéj wody, bo sumienie twoje i serce twoje było jak kamień za życia. Niesłuchałeś dzwonów za życia, odmawiam ci i teraz dzwonienia. Nie chodziłeś do kościoła, więc i teraz kościół przed tobą zamykam. (I drzwi kościelne zamknięto). Wszystko może jest cudze coś za życia zebrał, cudzą własność szarpałeś, na ludzki dobytek godziłeś, więc wyprzążcie woły z woza, co go przed drzwi kościelne przywiozły, na cmentarz go nie powiozą.“ I skinął na czterech towarzyszów zmarłego, a oni leniwo, ale dopełnili rozkazu. Ksiądz zaś prowadził rzecz daléj: „I wóz na którym przywieziono trumnę nie był może z jego pracy, może go z obcego drzewa i z cudzą krzywdą sprawił, zdejmcie więc te trumnę z woza.“ I znowu wskazał na towarzyszów, co jak trupy wybledli i zsinieli stali, niespodziewając się takiego kazania, a oni znów usłuchali i zestawili trumnę z woza na ziemię. Proboszcz jeszcze mówił: „Sto złotych któreście na pogrzeb u mnie złożyli odbierzcie, wynagrodźcie temi pieniędzmi krzywdy, jakie nieboszczyk wyrządził. Oddajcie to co wdowom pozabierał, co gospodarzom pokradł, co panom pobrał. Należało to jeszcze za życia zrobić, za życia z Bogiem się pojednać i oddać co do kogo należało. Lżejszą miałby śmierć, szczęśliwsze życie przyszłe i nie stałby przed Bogiem w szacie złoczyńcy i wydziercy cudzéj własności.“ I jeszcze coś ksiądz prawił, ale jużem tego nie słyszał, gdyż żona nieboszczyka skostniała, a od sromu i żalu płakać ani mówić nie mogąc, padła jak długa i zemdlała...

Ruszyli na ratunek zemdlałéj poczciwi ludziska. A proboszcz tymczasem kazał wziąść na barki czterem towarzyszom trumnę i zanieść na cmentarz. Błoto było wielkie, cmentarz daleko w polu, a jeden tylko dziadek szedł za trumną, aby wskazać miejsce w niepoświęconéj ziemi, na pogrzebanie ciała.

Okrutne to wrażenie zrobiło na wszystkich. Z pół roku o niczem nie gadano, jeno o tém: jak nieboszczyk umierał, jak go pilnowali towarzysze, aby nie zażądał księdza, albo wójta gminy i aby nie powydawał kradzieży; jak mu śmierć przyśpieszyli, bo pono w szaleństwie, wszystkie sprawki wywoływał; jak wołał że przy nim moc szatanów i prosił aby ich wypędzono, jak przeklinał dzień swego

urodzenia, matkę, ojca, że go nie karcili i że on przez nich tak cierpi.

I tysiączne inne jeszcze wywodzono gadki o tém, a ztego dla wszystkich była taka nauka, że ciężko grzesznikowi ze śmiercią i że lepsze ubóstwo z cnotą, niż bogactwo z krzywdą ludzką.

O towarzyszach powiadano, iż dwóch zaraz się w inne okolice przenieśli i tam pono złodziejki zaprzestali. Jeden znów zaraz był wzięty do kryminału, bo go jakiś jego spólnik wydał w sądzie i tam umarł. Ostatni po śmierci żony swojéj, sprzedał wszystko co miał, prócz jednéj krowy którą biednéj Pawłowéj komornicy darował, pieniądze rozpożyczył, porozdawał, a sam od chałupy do chałupy chodząc, pomagał w robocie i za to miał przytułek i pożywienie, bo więcéj nie żądał. Nie lubiał on opowiadać dawnych zdarzeń, ani odpowiadał jak go ci co różne powiastki o nim słyszeli z ciekawością pytali, ale młodszych upominał, aby byli rzetelni, pracowici, uczciwi, pobożni, na cudze grunta i cudze majątki nie łakomili się, a krzywdy nikomu nie robili. Karcił też i rodziców gdy widział jakie pobłażanie, a często bardzo powtarzał:

Od łyczka, do rzemyczka,
Od rzemyczka, do koniczka,
Od koniczka, szubieniczka.

Temu pogrzebowi cała okolica zawdzięcza, iż się źli ludzie upamiętali, a w parafii całéj, a szczególniéj we wsi saméj Błogie dziś kwitnie uczciwość, rzetelność i pobożność.

O podatkach w Turcyi i we Francyi.

Ludzie, którzy rozumnie podróżują po obcych krajach i poznali je dobrze, powiadają nam, iż podatki we Francyi wynoszą *sto złotych na osobę rocznie*. Nie znaczy to, aby każdy Francuz płacił równo, gdyż bogatszy płaci więcéj, ubogi mniéj, ale gdybyśmy chcieli na cały roczny podatek zebrać pieniądze równo od wszystkich, co tylko we Francyi żyją, od mężczyzn i kobiet i od dzieci nawet, to wypadłoby wziąść od każdego po 100 złotych polskich. O Turcyi powiadają znowu podróżni, że tam podatki wynoszą po 25 złotych rocznie na osobę.

Kto nieświadomy wszelkich okoliczności myślałby, że w Turcyi człowiek cztery razy mniéj płacąc podatków niż we Francyi, jest cztery razy szczęśliwszy od Francuza, jednakże rzecz się ma inaczéj.

Francuz płaci do skarbu wiele, lecz za to ma prawie *co drugą wieś wyborną początkową szkółkę*, do której dzieci posyła bezpłatnie; w każdym mieście ma jedną, a czasem *kilka doskonałych szkół większych*, gdzie dzieci jego uczą się więcéj i także bezpłatnie; ma jeszcze w kilkunastu miastach *szkoły najwyższe*, gdzie uczą już wszystkich nauk i uczą biednych podobnież bezpłatnie, bogatych zaś bardzo tanio.

W Turcyi wiejskie szkółki zliczyćby można na palcach, wpisowe do nich drogie, a nauka Boże zmiłuj się! Toż samo ze szkołami miejskiemi. Szkoła wyższa jedna na cały kraj i także nie wiele warta, a tylko dla bogatych dostępna. To też Turcy mało umieją, mało do czego są zdatni, mało dla siebie i dla kraju użyteczni. Woleliby oni zapewne przydawać do podatku jaki dziesiątek złotych corocznie, byle mieć takie dobre i takie tanie, a raczéj bezpłatne szkoły jak francuzkie.

We Francyi *gminy mają kassy*, w których każdy poczynający rzemieślnik może dostać *pożyczkę bez zastawu*, na kupno dla siebie warsztatu, narzędzi i materyału; każdy gospodarz zagonowy może pożyczyć na kupno doborowego bydła, lepszych koni, na porządne obudowanie chaty, gumien Gdy potém przy takiéj zapomodze człek dorobi się grosza, to zwraca dług rządowi *małemi częściami i z maleńkim procentem.*

W Turcyi rzemieślnik i rolnik zadłuża się u lichwiarzy i ubożeje w ich ręku.

We Francyi każda gmina ma choć jedno *poprawne gospodarstwo*, hojnie przez rząd wspierane, gdzie każdy może przyjść i oglądać wszelkiego rodzaju zboża, ogrodowizny, rośliny pastewne i owoce; może poznać jak to najlepiéj uprawiać ziemię, najlepiéj siać, zbierać i przechować dar Boży; jak dobytek utrzymywać, z nabiałem się obejść; pozna tam wystawione na próbę rozmaite wozy, sochy, pługi, brony i inne przeróżne narzędzia rolnicze i zaraz widzi co warto kupić, co u siebie zaprowadzić. Rzemieślnik znowu znajdzie tam

warsztąty i narzędzia ulepszone; zobaczy dogodniejsze i łatwiejsze sposoby w swojém majsterstwie, nadto znajdzie próby i ceny wszystkich materyałów, których w robocie używa i nie płacąc nikomu, nie chodząc daleko, wydoskonala się coraz więcéj.

W Turcyi o tém wszystkiém jeszcze nie wiedzą i niejeden tameczny mieszkaniec wolałby dodać po parę dziesiątków złotych rocznie do podatku, aby mu urządzono owe kassy, owe gospodarstwa i owe rzemieślnicze wystawy gminowe.

We Francyi za wielkie podatki *rząd prowadzi drogi* proste, równe, szabrem wybite, a mostów pełne i to *od wsi do wsi, od miasta do miasta.* Możesz tam w każdej porze roku obładować wóz i jechać pośpiesznie, nie płacąc już nikomu.

W Turcyi zaledwie między większemi miastami zrobiono jakie takie drogi; między miasteczkami zaś, osobliwie między wsiami, latem zarzynają się koła w głębokim piasku, jesienią grzęzną w błocie po same osie i jeszcze opłacać się każdy musi, to na mostku, to na promie, to na rogatce.

Francuzkie rzeki prawie wszystkie *rząd oczyszcza* od kamieni, od karczy, od zaspów piaszczystych, prostuje je, łączy jednę z drugą szerokiemi kanałami, ażeby ułatwić wszędzie spław drzewa, zboża, siana, kamieni, cegły i wszelkich ciężarów.

W Turcyi rzeki są nieoczyszczone, a ludzie płynąc po nich, wraz z towarem osiadają na mieliźnie, lub rozbijają się o skały, a za każdą razą płacą przejazdy, podjazdy, kary, wynagrodzenia.

Ileżby to dał niejeden Turek rocznie, za usunięcie ogromnej mitręgi na drogach i kosztownego zawodu na rzekach?

We Francyi, kiedy urodzaj mały i zboże z zagranicy sprowadzać trzeba, rząd wysyła zaraz kupców w różne kraje, pożycza im pieniądze, ażeby zboże najlepsze, najprędzéj zewsząd dostarczali i za *umiarkowaną cenę, na chleb i na nasienie sprzedawali*; kiedy i to niepomoże, *rząd dopłaca ze skarbu piekarzom* i każe im chleb dla biedniejszych sprzedawać taniej, a na nasienie pożycza ziarno z magazynów swoich.

W Turcyi o takim dobroczynnym rządzie i wierzyć nie chcą. Wprawdzie dawali u nich w czasie ciężkiego głodu mąkę na chleb i ziarno na posiew, ale to jedno i drugie było zleżałe, zepsute, a potem odbierali w dwójnasób i to świeże, doborowe.

Teraz przypomnę wam, co już przed kilką mówiłem tygodniami, o owej troskliwości rządu francuzkiego w zaopatrzeniu wszelkiéj osady ludzkiéj *w świdrowane studnie*; następnie o owych milionach złotych, które wydaje ten rząd na *posiewy lasów*; inną razą powiem wam o *osuszaniu tam bagien, o zarybianiu rzek i jezior*, i o wielu dogodnościach, jakie rządowi tureckiemu i do głowy nie przychodziły.

Bierze rząd francuzki więcej, to i daje więcéj. Wojsko naprzykład francuzkie, otrzymuje porządną płacę, jest przeto dostatnie, przyzwoite, karne, i wzbogaca okolice w któréj kwateruje.

W Turcyi żołnierz płatny skąpo, a że jeszcze od starszyzny swojéj obierany łakomie, to zawsze głodny i oberwany, rad nie rad dopełnia sobie, co mu brakuje, puszcza się na kradzież pokątną, a czasami na otwarty rabunek. Istna to plaga egipska dla kraju, takie żołdactwo.

A cóż wam powiem o urzędniku tureckim?

Płacony licho, obdziera bez litości kogo dosięże i przy każdem zdarzeniu. Ma tam kto jaką sprawę i idzie do starszego we wsi, niby do naszego sołtysa, sołtys go obiera, idzie do wójta, wójt go oporządzi, idzie do sędziego, sędzia oskubie. Wszędzie płać i przepłacaj, wszędzie grabią, a tak do łapowego przyzwyczajają się, że chociaż z czasem i nachwytają pieniędzy dostatek, grabić jednak nie przestają nigdy.

O tych wszystkich nadużyciach we Francyi nie śniło się nikomu.

Oj! nie jeden Turek doda rocznie 25 a może i 50 złotych do podatku, aby go tylko od takich nadużyć uwolnili.

Jednem słowem dziwić się potrzeba, jak na tyle pożytecznych a drogo kosztujących ulepszeń, wystarczają podatki we Francyi, i zarazem pojąć nie można gdzie i na co, wydają pieniądze w Turcyi.

Z tego wszystkiego, co wam powiedziałem, widzicie sami: że we Francyi łatwiejsza jest praca, prędszy zarobek, a przez to i większa sposobność zebrać owe sto złotych na podatek roczny, niż w Turcyi czwartą część tego.

Na tem skończę, gdyż niewyliczyłbym dzisiaj wszystkich dogodności, jakie rząd francuzki czyni swoim, i wszystkiéj biedy, jaką rząd turecki swoich obarcza.

Powiedzcież mi teraz: kto większe płaci podatki czy Francuzi, czy Turcy? Czy w kraju, gdzie rząd ciągle się stara o moje i mojéj rodziny dobro, o moją naukę, moją spokojność, o sprawiedliwość i bezpieczeństwo dla mnie, czy w kraju tym warto zapłacić rocznie sto złotych od osoby, czy też może taniéj i lepiéj będzie dawać tylko po 25 złotych i być wystawionym na zdzierstwa, być ogołoconym ze wszelkiéj pomocy, pozbawionym wszelkiéj opieki?

PRZY DRZWIACH KOŚCIOŁKA.

Świszczy wichrzysko w sąsiednim borze,
Liściem i śniegiem miota po dworze,
W przyległéj strudze woda się ścina,
Chmury na niebie, zmierzchać poczyna.

Przy drzwiach kościołka, w kącik wciśniony,
Bosy pastuszek siedzi skurczony,
Siedzi skurczony w lichéj odzieży,
Worek z paździerza u nóg mu leży.

Bieluchny anioł w sukni ze złota,
Otwiera lekko kościelne wrota,
Perłowém słówkiem pyta się słodko:
A zkąd to idziesz moja sierotko?

— Z wioski za borem sobie wędruję,
Bo mnie gospodarz nie potrzebuje,
Biedę ma w domu, zimę przed progiem,
Więc rzekł mi rano: idź z Panem Bogiem.

A dokąd idziesz? Daleka droga?

— Idę na służbę do Pana Boga,
Mówili starzy: byle się zgłosić,
To tam o służbę nie trza się prosić,
A byle chętny, na zawołanie
Nawet i zimą służby dostanie.

— A co to niesiesz, we worku owym
Na tym pastuszym kiju głogowym?

— Jedną koszulę, jedyne skrzypki,
Ze lnu białego, ze złotéj lipki;
Jasną i krzepką, dźwięczne i czyste,
Białą koszulę, skrzypki złociste,
Niosę na służbę z wiejskiego progu,
W worku z paździerza, na kiju z głogu,
Całą chudobę z lata dosiego,
Do gospodarza, do niebieskiego.

— Gdy ci tak pilno i dobryś służka,
To szaty mojéj chwyć się koniuszka,
Sakwy włóż na się, bo długa droga,
Ja z tobą pójdę do Pana Boga.

— Święty Aniele, choć długa ścieżka
Ja pójdę z tobą, gdzie Pan Bóg mieszka,
Niechaj się ino ogarnę z drogi,
Otrząsnę prochy, obetrę nogi,
Świąteczną na się włożę koszulę,
Nastroję skrzypki wysoko, czule:
By się nie gniewał Gospodarz święty,
Że tak przychodzę nie ogarnięty,
Że chce się godzić, że służby proszę,
A niestrojone skrzypki przynoszę,
By też zobaczył żem nie próżnował,
Żem też przez lato coś zapracował.

I wiódł do Boga anioł pastuszka.
Pastuch się trzymał szaty koniuszka,
I szedł lękliwie niebieską drogą,
Jak owo dziecię, noga za nogą,
Gdy poraz pierwszy z matką kochaną,
Wchodzi na górę światłem oblaną,
Gdy świat mu w oczkach kręci się, miga,
Jakoby w kwiaty ubrana śmiga.

I wiódł go anioł przed wielkie wrota,
Ściągnione tęczą, całe ze złota.
Stali tam przy nich króle z berłami,
I święty klucznik z trzema kluczami.

Przeląkł się pastuch prześwietném kołem,
Upadł w pokorze, uderzył czołem,
Ale podnosząc upadłe skronie,
Rzekł mu potentat jeden w koronie:
— Powstań pastuszku, nie leż jak długi,
Myśmy tu wszyscy zarówno sługi.
I szli przez kościół, przez nieskończony,
Przez taki wielki, nieogarniony. .

— Swtęty aniele, nie widać końca,
Tak tu niebiesko i pełno słońca,
A kiedy patrzę przez tę podłogę,
To całą wioskę zobaczyć mogę,
Trzódkę zaś owiec i stadko koni
Widzę przed sobą jakby na dłoni?
Kiedy ten kościół tu murowali,
Z miałkiemi gwiazdy błękit mięszali,
Kiedy go kryli na podób szopy,
Promienie słońca wiązali w snopy;
A na podłogę z niebios opoki,
Swięci pilarze rznęli obłoki.
Dla tego mury migają blaskiem,
Boć to błękity ze srebrnym piaskiem;
Dla tego strzecha słońcem się mieni,

Bo każdy snopek wiązką promieni;
A przez podłogę widać świat cały,
Boć to obłoki rznięte w kryształy.

I wiódł znów daléj anioł pastuszka.
Pastuch się trzymał szaty koniuszka,
I szli przez kościół, przez nieskończony,
Przez taki wielki, nieogarniony...
Swięci dzwonnicy, za progiem stali,
Trzy różne dzwonki w rękach trzymali.
Byli dzwonnicy nierównych latek,
Każdy zaś dzwonek jak inny kwiatek.

— Mała dziecina pełna ochoty,
Dzwoni w pierwiosnek duży a złoty.
Siwy dziadunio po cichu bije,
Srebrnym pręcikiem w srebrną liliję,
A mąż w purpurze nie szczędząc ręki,
W miedziany dzwonek, w kwiat Bożéj męki.
Kiedy Pan Jezus zobaczy z nieba,
Łaknącą duszę rajskiego chleba:
W obcych pieluchach sierotkę małą;
Ubogą wdowę z chatą zgorzałą;
Pana młodego za setną wodą;
Drużki płaczące nad panną młodą;
Siostrzyczkę która o brata pyta,
Gdy kruk na płocie dziobie jelita;
Ojca, co syna z drogi dalekiéj
Czeka by zamknął jego powieki,
Czeka ze śmiercią, skonać nie może,
Wilk z ręką syna hasa po dworze;
Ślepego dziadka co pod jaworem,
Przy drzwiach kościelnych siedzi wieczorem,
W pobożnym śpiewie zwarły się usta,
Na dłoni leży miseczka pusta;
Grajka, co trzyma skrzypki spękane,
Na nich jedwabne struny porwane,
Co patrzy w niebo w trwodze i skrusze,
A ludzie mówią że wygrał duszę...
To już go taki żal ściśnie w niebie,
Że chcę tę duszę mieć obok siebie.
Mówi dzwonnikom: dzwonnicy mili.
Chce abyście mi na świat dzwonili,
Po onę duszę w niebo patrzącą,
Taką spragnioną, taką łaknącą,
Niechaj tu przyjdzie, niech się posili,
Zadzwońcie na nią dzwonnicy mili:
Więc jako mówi i jako każe,
Zaraz na rozkaz dzwonią dzwoniarze.

Skoro ów dzwonnik, co ma purpurę,
Krzyżowy młotek podniesie w górę,
I bić nim pocznie nie szczędząc ręki,
W miedziany dzwonek, w kwiat Bożéj męki.
Słychać na ziemi, straszne szczękanie,
Ciężkich łańcuchów nagłe pękanie.
Do wrot zaś nieba, oswobodzony
Wchodzi męczennik uszczęśliwiony,
A takie światło z ran mu promieni,
Że się aż całe niebo rumieni.

Gdy siwy dzwonnik po cichu bije,
Srebrnym pręcikiem, w srebrną liliję,
Ciche konanie słychać chwilami,
Uśmiech zalany błogiemi łzami,
Brama się niebios sama odpiera,
I ślepy dziaduś oczy otwiera,
Śrebrzysta światłość tryska mu z lica,
A w niebie jasno, jak od księżyca,

Gdy zaś dziecina pełna ochoty,
Dzwoni w pierwiosnek duży a złoty,
Słychać w pieluszkach: trzepanie skrzydłem,
Jak szamotanie ptaka ze sidłem.
Brama się niebios sama rozsuwa,
Złoty aniołek do niéj przyfruwa,
Prześliczną jasność od siebie miota,
Jak owa zorza poranna złota.

Dzwonnik dziecina czasem przedwcześnie,
Nie naumyślnie zadzwoni we śnie,
Czasem nie z woli ale z pustoty,
Uderzy rączką w pierwiosnek złoty,
Ztąd też na świecie, na rękach matek
Najwięcéj zawsze umiera dziatek,
Ztąd też ma Pan Bóg około siebie
Najwięcéj zawsze aniołków w niebie.

(Dokończenie nastąpi)

Różności.

We wsi Kunice i w miasteczku Gielniów w Opoczyńskim, staraniem troskliwych o dobro ludu kapłanów, urządziły się bractwa wstrzemięźliwości, tak wielce do umoralnienia i oświecenia ludu potrzebne.

— Nakładem b. Towarzystwa Rolniczego wyszła dobra i użyteczna książeczka p. t. „Rady Gospodarskie w pytaniach i odpowiedziach, dla użytku wieśniaków ziemi naszéj, ułożył Adam Goltz,“ kosztuje groszy 20.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za
exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 19 Stycznia 1862 roku.